DZIENNIK

WILENSKI.

ROK 1826.

LITERATURA NADOBNA.

TOM PIERWSZY.

W WILNIE W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

Dozwala się drukować. Dnia 12 stycznia 1826 roku. Z polecenia JW. Wojennego, Gubernatora Litewskiego.

Andrzey Bucharski
Rzeczywisty Radca Stanu i Kawaler.

(N. I.)

DZIENNIK WILENSKI

ROK 1826. STYCZEN.

Literatura nadobna.
Kukułka Wróżka powieść z Lafontaina 3.
Geniusz Człowiéka, z franc. 28.
Trzy krzyże pod Brykowem, ballada 32.
Myśli kobiéty o kobiétach 40.

Estetyka.
Wykład celnieyszych różnic między Krasomowstwem a Rymotworstwem 3.

Historya.
Listy Leibnica do Piotra W. Cesarza Rossyyskiego 20.

Biografia.
Krótka wiadomość o życiu Mik. Fussa 32.
Wiadomość o życiu Barona Denona 34.

Kraiopisarstwo.
Nowe kraje Amerykańskie 50.

Recenzya.
O słowniku rossyysko-polskim X. Modesta Staniewicza pijara 60.

Fizyka.
Instrukcya do urządzenia konduktorów 3.

Chemija.
Rozbiór Kaolinu 25.

Mineralogia.
Systematyczne wyliczenie minerałów, odkrytych dotąd w różnych mieyscach Rossyi 29.

Zoologia.
Ciekawe szczegóły o wężu żółtym z Martyniki 36.
Badania monograficzne o psie rodzimym amerykańskiego lądu 38.

Botanika.
Opisanie dwóch nowych rodzajow roślin, odkrytych w Nepalu 39.

Nowy nadzwyczayney wielkości wyrodek ogórka 40.

Nauki Stosowane.
O Szkle z *ryciną* 3.
Sposoby robienia różnego piwa do użycia domowego, *z ryciną* 28.
Opisanie krupierni nowo-wynaleziony przez P. Lescour we Francyi, z ryciną 36.
Gospodarstwo wieyskie niderlandzk. w teraznieyszym swym stanie. *Ciąg 8my.* 39.
Domowe amerykańskie wino 57.
Sposob suszenia drzewa na instrumenta muzyczne i t. d. 59.
Machina do wyciągania drótu żelaznego, na gręple 61.
Nowa machina do wyciągania drótu wynal. P. Brokedon 62.
Mechanizm do prędkiego pływania kanałami 63.
Pobiała angielska 64.

Towarzystwa i zakłady.
Edukacyyne i naukowe zakłady w Rossyi 3.
Cesarska akademia nauk 14.
Konkurs do katedr w uniwersytecie jagiellońskim: teologii dogmatyczney 14, adjunkta obserwatoryum 15.
Uniwersytet francuzki w Paryżu. Fakultet literacki 15.
Król. akad. umiejęt. w Berlinie 17

Biografia i nekrolog.
Kanclerz Hrabia Rumianców 17— Staszic 18— Łachnicki 19 — Dybek 19 — Chodakowski 20 — Gautherot 20— X. Coster 20—

Nowe dzieła.
Polskie 22— Rossyyskie 26— Cudzoziemskie 29.

Dozwala się drukować. Dnia 12 stycznia 1826 roku
Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.
Andrzey Bucharski
Rzeczywisty Radca Stanu i Kawalre.

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

LITERATURA NADOBNA.

Kukułka Wróżka albo Historya mey młodości. Powieść wyjęta z dzieł Augusta *Lafontaine*, przez *A. N. K.*

Rozdział pierwszy. *Kto to ja byłem.*

Byłem...... już prawie godzina, jak ten wyraz napisany, a jeszczem się przez ten czas nie namyslił: czém byłem. Jakoż położenie moje podobne jest do owego filozofa, który, będąc zapytanym: co jest Bóg? po zbyt długim namyśle, odpowiedział: „Im więcéy się zastanawiam, tém mniéy jestem w stanie go opisać."

Jakkolwiek bądź, uważam, że powinienem się mieć na ostróżności: jużem się odważył wmówić w czytelnika, że kiedym był dzieckiem, płomyk jaśniał nad moją głową, jak nad Serwiuszem Tulliuszem; albo, że pszczoły do ust moich miód znosiły, jak do ust Platona; i że sny arcy-dziwne zapowiedziały mey matce, iż ze mnie będzie kiedyś wielki człowiek. Niestety! dobra moja matka wierzyła temu święcie i po macierzyńsku, aż do saméy śmiérci: i gdybym był zawsze szedł za jey mądremi rady, stałbym się, jeżeli nie wielkim, to przynaymniey bardzo dobrym człowiekiem.

Byłem..... dziecięciem, młodzieńcem, wreście męžczyzną doyrzałym, którego zamiary zawsze były lepsze od czynów: który żal po ustérkach uważał za cnotę: który w pomyślno-

ści wierzył w Opatrzność, a w przeciwnościach w traf ślepy: byłem..... czyliż nie lepiey zrobię, gdy się zrzekę pisać historyi mey młodości, niż cobym daley miał czynić podobne wyznanie? Niech ten, co się lepszym bydź mieni, niżeli ja, com się w tych kilku odmalował wierszach, użali się nademną: opowiém poprostu, jak przepędziłem dni mojey młodości.

Dom, w którym mieszkał móy oyciec, był położony w dębowym gaju, na pochyłości wzgórka, gdzie on założył ogród, ze środka którego obfite wytryskało źródło.

Na wierzchu zaś tego pagórka, naywyższego w całey okolicy, stał niewielki dóm myśliwski czyli zameczek, należący do naszego Xiążęcia. Był on celem mojego podziwienia, a co mię naybardziey zachwycało, to dach płazki na jedney z wieżyczek, z którego oglądać było można, jak w panoramie, całą okolicę.

Matka moja była niejako tego zamku kasztelanową: gdyż ów pawilon nie był już zwiedzany od czasu, jak młody xiąże objął majątek po oycu i kazał wybudować daleko od nas, inny dóm mysliwski, obszernieyszy i ozdobnieyszy. Oyciec móy zasiewał teraz w tym źwierzyńcu żyto, pszenicę i rzepę, a między niémi wznosiły się posągi Dyany, Bachusa i wielu bóstw innych.

Nie mogła się naopowiadać moja matka, co się działo w owych czasach, kiedy stary Xiąże ze swym dworem zjeżdżał w te strony. Nie sto razy nazwał on ją, swoją *dobrą*, swą *kochaną* panią; ,, ach! " powtarzała ,, zacny to był Xiąże! jaki grzeczny, jaki przystępny! "

„ Prawda, ani słowa „ odpowiadał móy oyciec„ bardzo grzeczny, bardzo przystępny; wszelako ledwo, bywało, tu trzy dni zabawi, już nasz kojec , sadzawka, faski, z drobiu, ryb, masła, są próżne. “

„ Nie przeczę temu, lecz za to, następstwo na twe mieysce, czyliż nie jest zapewnione dla naszego Henryka ? „

„ Wolałbym był nie otrzymać : bo od tego czasu P. Kommissarz nigdy nie był kontent ze mnie; nie wiém, co mam robić, żeby mu dogodzić: a kiedy Henryk nastąpi, to jeszcze gorzéy będzie. „

Uśmiéchnęła się matka: bo jakże mogła przypuścić, aby los opaczny chciał mię kiedy prześladować ?

Słuchałem tego wszystkiego obojętnie: opowiadania matki w ten czas tylko były dla mnie ciekawemi, kiedy prawiła o piękney muzyce myśliwskiey Xięcia, którey się odchwalić nie mogła, a którą z duszy radbym był usłyszeć.

Ponieważ nayblizsza wioska była od nas o pół mili, matka więc sama uczyła mię czytać, a oyciec pisać i rachować.

Resztę czasu łożyłem na plądrowanie lasu, w towarzystwie kilku psów mysliwskich ; lub na przypatrywanie się z płazkiego dachu w zameczku, pięknemu widokowi; lub na postrzeganie wschodu gwiazd, co szczególnieyszy dla mnie powab miało.

Żyłem w towarzystwie małey liczby ludzi: potrzebowałem ich i dla tego kochałem wszystkich : byłem też nawzajem od nich kochany , bom był usłużny i uymujący. Widując tylko

starszych w wieku od siebie, nabrałem niezwykłey dzieciom powagi. Moja matka brała to za mądrość wrodzoną: mówiła mi o tém szczérze, a ja wierzyłem, nie chełpiąc się bynaymniey.

Powieści naszych strzelców o duchach, ogniach błędnych; rusałkach, tańcujących przy swietle xiężyca; o skarbach ukrytych, które dawał poznać płomyk błękitny, a serce tylko czyste odkryć je mogło, sprawiały mi częstokroć lekką trwogę; nie mogłem przebiédz w nocy mimo krzaków, aby mię drżenie nie przejęło.

Z żywą wiarą, przysłuchiwałem się temu wszystkiemu; bytność rusałek, kołyszących się zlekka po kwiatach i zbierających z nich rosę, tudzież duchow strzegących skarbow, tak mi się zdawała bydź naturalną, jak moja własna. Noc była dla nich porą uciech: nie wyrządzały żadney złości wiernemu sercu i czystemu sumnieniu, i można było przechodzić koło nich bezpiecznie, byleby nic sobie nie mieć do wyrzucenia.

Nie mogłem bez wzruszenia zostawać wśród ciemności, słuchać jakiegoś szmeru, patrzeć na odległe światełko, lecz te wzruszenia były słodkie, podnosiły mą duszę, albowiem przyrzekłem sobie mieć zawsze serce szczére i sumnienie bez skazy.

Tym sposobem doszedłem do lat dwunastu, nie znając nic, prócz lasu, domu i tych, co w nim mieszkali.

Czytałem płynnie, pisałem ręką śmiałą, rachowałem jak należy. Umiałem ocenić dąb, lub kawał gruntu; znałem się na tropie, byłem w stanie rozróżniać drzewa i rośliny.

" Dobrze to, dobrze „ mawiał móy oyciec, zastąpi on kiedyś mnie wyśmienicie. „

" I jeszcze lepiéy, jeśli się tak Bogu podoba „ dodawała matka, żegnając me czoło.

Rozdział drugi.. *Odkrycie skarbu.*

Móy oyciec był to człowiek prosty, poczciwy, który, nic nie zgłębiając, czynił zawsze to, co mu się słusznèm zdawało. Dosyć mu było do namysłu kilku minut; a nie naylepiey trzymał o tym, kto wiele czasu potrzebował do przedsięwzięcia.

Xiążki, wyjąwszy biblią, psalmy i katechizm, sądził za rzeczy niepotrzebne; nie miał też sam żadnych, prócz kalendarza, xiążki do nabożeństwa z modlitwami na każdy dzień w tygodniu, i kazań na każdą w roku niedzielę. Kiwał głową, kiedy posłyszał o jakim leśniczym, bawiącym się xiążkami: może miał i słuszność: bo las, którego doglądał, był w naylepszym stanie; nie było mieysca próżnego w całym, doń należącym obrębie; bagna i wzgórki żwirowate zarówno były użyteczne; przeto też corocznie składał do kiesy coś więcéy nad naznaczoną kwotę. Musiał mu sprawiedliwość oddawać kommisarz, pomimo nieukontentowania, jakiego następstwo moje było przyczyną.

Swiat móy umysłowy nadzwyczaynie był ograniczony: uczyłem się katechizmu przy matce, która mi go tłumaczyła, jak tylko mogła; serce czyste znayduje zawsze prawdę, serce zaś jey było tak czyste, jak kropelka rosy w łonie kwiatu.

Co niedzieli jeździliśmy do kościoła przyległey wioski; lecz w niepogodę, czytałem kazania, które memu oycu zawsze zadługie się zdawały, matce zaś nigdy się nie przykrzyły. Nie mieszając się bynaymniey w te spory, czytałem daléy tonem wzniosłym, nasladując, jak tylko mogłem, kaznodzieję naszey parafii. Po stokroć odczytałem wszystkie historye Pisma Sgo; oyciec móy wyraźnie mi oświadczył, iż tém tylko ograniczy się moje czytanie: stąd téż nie wiedziałem, czy się znaydują inne xiążki na świecie.

Jednego dnia, kiedym był w zameczkowym gabinecie, przycisnąłem, nie chcąc, guzik w ścianę wbity; dziurka od zamku pokazała się i w ciekawość mię wprawiła. Klucze od szaf próżnych wisiały na ćwieku, począłem dobierać, jeden z nich przychodzi do zamku; otwieram i postrzegam mnóstwo xiążek, wybornie oprawnych, ustawionych na półkach, będących w murze. Biorę jedną xiążkę: był to *Ciekawy Starożytnik* z rycinami: przewracam karty i czytam, chcąc się dowiedzieć, coby oznaczały rysunki; zajęcie to tyle dla mnie miało powabu, iż anim się postrzegł, jak noc nadeszła.

Zamknąłem pilnie szafę, schowałem klucz do kieszeni i powróciłem do domu, dumając o nienawiści, jaką móy oyciec miał ku xiążkom. Odkryłem *skarb*, wiedziałem, iż, aby go dochować, trzeba się było taić; szafa, która go zawierała, tak była niewidoczna, iż kiedy dom wyprzątano, nikt jey nie dostrzegł: niepodobna też, aby rodzice moi odkryć ją kiedykolwiek mogli; postanowiłem zatém milczeć przed nimi o owém

zdarzeniu, i nazajutrz rano pobiegłem do mego gabinetu, zamknąwszy bacznie drzwi za sobą. Biblioteka ta, obeymowała sto woluminów dzieł niemieckich i angielskich.

Teraz dopiéro zostałem na nowy świat przeniesiony, na świat zaczarowany. Czytałem z kolei podróże, romanse, komedye, historye, poezye, jeografią, powieści czarodzieyskie; wszystko bez braku i bez czyjeykolwiek wiedzy?

Wierzyłem z całego serca powieściom czarodzieyskim; otwierały one mey imaginacyi cudowne i obszerne pole, którego moje własne marzenia, dały mi już były jakieś wyobrażenie. Przeciwnie wątpiłem szczéróści podróżo-pisarzy, wystawujących dzikie i nagie ludy.

Co do poezyy, posiadałem piérwsze dzieła Gellerta, Klopsztoka, Wilanda, listy moralne Duseka i kilka komedyy Kronegka.

Niepodobieństwem mi było upatrzyć jakikolwiek związek pomiędzy témi xiążkami a światem, na którym mieszkałem; z tém wszystkiém nie przestawałem ich przebiegać; z początku czytałem to tylko, co mię bawiło, i takich xiążek było nie wiele; lecz czytając, nauczyłem się czytać; jedno dzieło ułatwiało mi zrozumienie drugiego; myśl jedna była kluczem do innych myśli; wkrótce począłem myślić o schwyceniu stosunków, jakie wszystkie te rzeczy miały pomiędzy sobą.

Można mi też było wszystek czas na to obracać. Rodzice moi, przyzwyczajeni do niewidywania mię przez dzień prawie cały, sądzili, że, wedle dawnego zwyczaju, latałem tu i ówdzie, to ze strzelcami, to przy drwalach lub grabarzach.

Zasadą mojego oyca było, dawać każdemu tyle wolności, ile można; a przytém nie bardzo lubił, abym siedział w domu.

„Leśniczy“ zwykł był mawiać, marszcząc brwi „powinien żyć więcey w lesie, jak pod dachem.“

Tak tedy mogłem bez postrzeżenia wszystkich, trawić większą część czasu w mojey bibliotece; dosyć mi było przeyśdź koło robotników powracając do domu, aby mieć cokolwiek do powiedzenia o nich w czasie obiadu.

Matka moja, jakém to już namienił, przewidywała od mego dzieciństwa, że będę wielkim człowiekiem; ile razy tylko prorokowała w tey mierze, móy oyciec uśmiéchał się, a ten uśmiéch podobny był zupełnie do satyry. Już teraz niepodobna było, aby moje zatrudnienia nie wpływały na rozmowy. Mówiłem poprawniey od rodziców: używałem wyrażeń, niesłyszanych nigdy w naszym domu: posiadałem wiadomości, z którémi się nie zawsze taiłem: czyniłem porównania i zastosowania do świata, który mi nie mógł bydź znany. Wszystko to tak było uderzającem, iż oyciec nie mógł więcey zaprzeczać, że byłem dziecięciem nadzwyczaynem; matka tryumfowała; a oboje błogosławili niebu, że im dało takiego syna.

Zrobiłem na imieniny mojego oyca wiersz, należący po części do poetów, których się naczytałem. Przezierając go, nadzwyczaynie się zdumiał; odwrócił się dla ukrycia swego wzruszenia i zachwycenia, którym się jawnie oddać powaga oycowska wzbraniała.

Matka postrzegła po jego rozczuleniu, że tego nie mógł sprawić rachunek, o który chodziło.

„Co ci to móy kochanku?“ rzekła doń „co tam czytasz?“

„Nic“ odpowié, chcąc schować papier, bo wiedział, że mię wynosić będzie pod niebiosy. Wszelako nie był tak nieugięty, aby ukrył przed matką, jednę z naypięknieyszych chwil swojego życia: obrócił się ku nam z oczami, łez pełnemi, i rzekł głosem drżącym:

„No! masz żono! nie pyszń się, ale się ciesz.“

Po tych słowach wyszedł z izby.

Matka przeczytała cztéry wiersze, ucałowała mię, i kończyła czytanie. Musiałem potém kilkakrotnie sam jey przeczytać, słuchała ze wzniesionemi ku niebu oczyma; wreszcie wzięła je ode mnie, zawinęła w papier i włożyła do biblii, którą móy oyciec był jey ofiarował na imieniny, a która podwóynie świętą dla niey była.

Oyciec, zapomniawszy niby o wierszach, nie pytał, gdzie się podziały; atoli kazał mi usieśdź przy sobie u stołu, mianując po kilkakroć, nie już, jak zazwyczay, Henryku, lecz *móy synu!* Okazywał mi względy wcale nowe, a dawna czułość matczyna jednym stopniem więcey nabyła mocy.

Czując wówczas lepiey, niż kiedy, jakiey wartości były książki, oddałem się nauce z nowym zapałem. Znalazłem przekład z angielskiego *o sztuce korzystnego czytania.* Aż dotąd dzieło to nie pociągnęło mię było: postanowiłem więc przeczytać z końca w koniec, na przekor nie naywiększey chęci, jaką do nie-

go czułem; jakoż stało się ono dla mnie niewypowiedzianego użytku.

Począłem, za przewodnictwem autora angielskiego, czynić ścisły mojego czytania rozbiór, porównywając niektóre sposoby mówienia prozaiczne z poetyckiemi, w teyże myśli użytemi; zdawałem przed sobą rachunek z większey lub mnieyszey ztąd wyczerpniętey słodyczy; wprawiałem się do sądzenia innych moich książek, podług prawideł dobrego stylu, zawartych w mym przewodniku, lub podług własnego zdania.

Prócz tego na czele wspomnionego dzieła znaydowała się grammatyka powszechna, którey po sto razy nauczyć się chciałem i po tyleż razy rzucałem, a którą nakoniec pojąć zdołałem.

Byłem, właściwie mówiąc, karłem, idącym w zapasy z olbrzymem; lecz miałem chęć i czas po temu; unosiłem się na wspomnienie tajemnego ukontentowania mojego oyca; sam ów tytuł *syna*, jaki mi teraz dawał zamiast imienia Henryka, stokroć mię bardziey podniecał, jak wszystkie pochwały, któremi matka w obec mię obsypywała.

Sztuka korzystnego czytania przeniknęła mię uwielbieniem ku literaturze angielskiey; były tam cytowane mnogie dzieła, znaydujące się w mojey bibliotece, a na których obcy język, poglądałem ze smutkiem.

Słownik angielski ściągnął moję uwagę, nie mogłem bowiem domyślić się jego użytku; posiadałem i grammatykę tego języka, lecz niestety! tylem ją rozumiał, co tablice astronomiczne; hie-

roglify persopolitańskie nie wydałyby mi się bardziey niedocieczonemi. Z tém wszystkiem nie traciłem odwagi; wywikłałem się szczęśliwie z powszechney grammatyki; poznałem wkrótce jey stosunki z tym obcym językiem, który poznać pragnąłem; pracowałem; a każdy łatwo uwierzy, że żadna praca nie była dla mnie uciąźliwszą, wszakże żadna tak kosztowney nie przyniosła mi nagrody.

Prawda, żem dalekie czynił zboczenia; łożyłem całe miesiące na to, coby mi nauczyciel w jedney wyłożył godzinie; lecz jaki tryumf, widząc, żem się zbliżał do kresu! co za ćwiczenie mego umysłu i wszystkich władz jego! co za tłum wyobrażeń ta ciernista rozwinęła praca! Jedna z naypięknieyszych chwil mojego życia była ta, kiedy wziąwszy *Wikarego Wackfield*, któregom czytał tłumaczenie, zrozumiałem piérwsze karty.

Dzieliłem móy czas w sposób nayszczęśliwszy pomiędzy me dwa światy: jeden był ten, jaki mi moja biblioteka otworzyła; drugi istotnieyszy, w świętém dębowego gaju zaciszu, gdzie mogłem uwielbiać naturę, słuchać śpiewu ptastwa, oddawać się uciechom łowiectwa, oraz dom moich rodziców, świątynia miłości, pokoju i zgody.

Zacząłem rok szesnasty na łonie tego błogiego i nieporównanego szczęścia. Plutarcha umiałem na pamięć; karmiłem moję imaginacyą śpiewami poetów i nadzieją słodkiey przyszłości; marzyłem o stałey miłości, a serce moje, dotąd jeszcze spokoyne, przysposabiało się

do tkliwości. Byłem szczęśliwy, bom znalazł istotnie *skarb drogi.*

Rozdział trzeci. *Rusałki.*

Miałem już lat szesnaście. Głos miłości poczynał się odzywać w mey duszy; jakieś żądze, niemające u mnie nazwiska, opanowały mą istotę; czytałem już tylko same poezye i romanse. Skryte wzruszenie, przeczucie jakiegoś szczęśliwego wypadku, pociągało mię bardziey, jak kiedy, do błąkania się po lasach; zatapiałem się w słodkich marzeniach, i wnet widziałem się zbyt oddalonym od założonego celu mojey wędrówki. To atoli rzadko mi się przytrafiało: bo tylko wtedy, gdy jaki obraz z moich poetów, żywe na mnie zrobił wrażenie; nie wiedziałem, że ta niespokoyność pochodziła z potrzeby kochania.

Chęć sławy opanowywała mię też czasem; wtedy nie mogłem przywieść sobie na myśl bez wstrętu życzenia mey matki, wciągnienia mię w obowiązek leśniczego, kiedybym doszedł lat dwudziestu.

„Młody człowiek powinien zaczynać na cudzym chlebie, mawiał móy oyciec, boby inaczey nie smakował w domowym.“

Popierałem to zdanie całém sercem i całą moją wymową; lecz postrzegłem wkrótce po oziębłości, z jaką oyciec przyymował moje rozumowania, iż w gruncie był jednego z matką zdania.

Chcąc mię oswoić z powinnościami mojego przyszłego stanu, lubił mi dawać do pisania rap-

porta, które obowiązany był składać w ekonomiczney izbie i czytywał je z ukontentowaniem, którego ukryć nie był w stanie. Poruczył mi nawet połowę wydziału, nad którym miał dozor; a kiedy zwiedzając go, znaydował wszystko w dobrym porządku, poglądał na mnie z pociechą i mawiał wracając do domu. „Postępuy daley tak synu! a P. Kommissarz nie będzie żałował, że kiedyś zaymiesz moje mieysce.“

Posiadałem wszystko to, co oyciec, ale też umiałem i to, czego on nie umiał. Młody student, zaymujący się w czasie wakacyy historyą naturalną, przybył na kilka dni do nas, dla zbogacenia swojego zbioru ptaków w naszym lesie; on to mię nauczył je wypychać. Ułożyłem także bardzo piękną *kollekcyą;* nauczyłem się botaniki z książki, którą mi darował; niektóre podróże, składające moją bibliotekę, pomogły do dalszego postępu, a kiedy mi się udało rozkrzewić młode brzozy na piaszczystym gruncie, który przed tém odłogował, gdzie indziey znowu akacye, drzewa dotąd memu oycu nieznane, mawiał do mnie ściskając za rękę:

„Muszę wyznać, żem niesłusznie sądził o książkach, móy synu!“

Kiedy P. Kommisarz objeżdżał majątki, bardzo był kontent z moich usiłowań, chwalił móy zielnik, ptastwo wypchane i lasek brzozowy, który móy oyciec przezwał *gaikiem Henryka.*

Przyjaciel móy, ów student, powracał co wiosnę polować na ptaki, i raz prosił mię, ażebym mu się postarał o kukułkę. Jednego dnia, znaydując się przy naszey granicy, postrzegłem bar-

dzo piękną, ścigałem ją od krzaku do krzaku, bez względu na drogę, jakąm się puszczał. Ulatywała ciągle, siadała na gałęzi i znowu się zrywała, kiedym już ją na cel chwytał; wabiłem nasladowaniem jey głosu, co nad podziw umiałem doskonale; odpowiadała nawzajem, lecz oddalała się coraz bardziey, tak, że nareszcie uyrzałem się w gaiku z drzew obcych, po którym kręta wiła się ścieżka, starannie piaskiem wysypana. Szedłem cicho po otaczającey ją darninie, z okiem bez ustanku wlepioném w mojego ptaka; lecz wkrótce nowy dla mnie widok całą mą ściągnął na się uwagę.

Dziewięć młodych dziewcząt, tańczyło razem na łączce; nie widywałem nigdy, prócz samych wieśniaczek: ubiór ich, wdzięki i lekkość kazały mi brać za wyższe jakieś istoty; gdyby to było przy xiężycu, anibym się wahał, że to są rusałki.

Przypatrywałem się z zachwyceniem tym wdzięcznym stworzeniom przez gałęzie krzaku, który mię przed niemi zasłaniał, gdy wtém ptak, dotąd przezemnie ścigany, odzywać się począł. Ustały skoki, a jedna z dziewic zawoła:

„Grzeczna kukułeczko! mówią, że ty posiadasz dar zgadywania, czy nie mogłabyś więc powiedzieć, ile nas tu?“

Kukułka umilkła, a ja odpowiedziałem w jey imieniu, powtórzywszy głos jey dziewięć razy.

Młode panienki z zadumieniem na siebie spóyrzały.

„Ach! jak wybornie!“ rzekły.

Jedna zadała pytanie, druga znowu swoje, a ja odpowiadałem, jak można, naylepiey, zdzi-

wienie ich coraz wzrastało, równie jak moja chęć igrania z ich łatwowierności.

„Wylicz trzy, kukułeczko!“

„Wylicz pięć.“

„Ile czyni dwa razy trzy?“

Odpowiadałem doskonale, a ich radość była bez granic. W tém jedna z nich, przejęta zabobonną trwogą, zawoła:

„To rzecz nadnaturalna, muszą w tém bydź jakieś czary; za nic w świecie, minuty dłużey bawić tu nie chcę.“

Na te słowa ucieka; inne śpieszą za nią, wydając okrzyk trwogi, wyjąwszy naymłodszą, która naprożno siliła się je zatrzymać.

„Czy wy bez rozumu?“ odezwie się „dokąd bieżycie? czy podobna lękać się kukułki?“

Nigdym jeszcze nic tak przyjemnego nie widział, jak była figurka tego dziecięcia; obróciła się w mą stronę, i rzekła z lubym uśmiéchem.

„Kochany ptaszku! powiedz mi, jak wiele mam lat?“

Zakukałem dwanaście razy.

„Zgadłaś“ zawoła, klaszcząc w ręce.

„Powiedz mi jeszcze, miły proroczku, za ile lat póydę za mąż?“

Odezwałem się sześć razy.

„To bardzo bydź może; a móyże mąż daleko ztąd?“

Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie.

„O wiele mil?“ Milczałem.

„O wiele wiorst?“ Jeszcze milczałem.

„O ile więc krokow?“ Była odemnie prawie na krokow pięćdziesiąt, zakukałem przeto wciąż pięćdziesiąt razy.

Maleńka, policzywszy bez przerwy, zawoła: „Jakto! byłby o krokow pięćdziesiąt? ach! co teraz, toś skłamała, pani kukułeczko; obaczmy jednak.“

Zaczęła zatém iśdź licząc w głos: raz, dwa, trzy, cztéry i t. d.

Ta niewinna zabawka przejęła mię radością; serce me biło w naysłodszém wzruszeniu, widząc to kochane dziecie, zbliżające się do mnie. Za pięćdziesiątym krokiem, wyskoczywszy zza krzaku stanąłem przed nią. Krzyknęła przeraźliwie, i miała się do ucieczki. Ale ja odezwałem się do niey, jak można naypoważniey:

„ Czy nie byłabyś Panienka tak dobrą, i czybyś nie chciała mię uwiadomić: w jakiém znayduję się mieyscu ?. Zabłąkałem się w lesie, i nie mogę trafić na drogę“.

Zatrzymała się i odpowiedziała, pilnie mi się przypatrując:

„Jesteś w Szalden, w zwierzyńcu P.Bornhof.“

„ Więc mi trzeba będzie iśdź przez dwór, chcąc się dostać do wsi ? “

„ Nie koniecznie, jesli znasz ścieżkę po lasku, wyydziesz wkrótce na wielki gościniec. “

„ Będzieszże tak dobrą, że mi ją pokażesz?“

„ Naychętniey. “

„ Lękam się, abym nie nadużył twey dobrotliwości. “

„ O! z chęcią będę ci towarzyszyła w koniec lasku. “

Kiedyśmy szli, jedno obok drugiego, poglądała często na mnie ukradkiem. Widziałem, że szczérze chciała mię zapytać o moje nazwisko, lecz nieśmiałość była temu na przeszkodzie.

Gdyśmy stanęli w końcu lasku, spóyrzała raz jeszcze na mnie, jak gdyby chcąc utkwić móy obraz w swey pamięci, poczem się skłoniła i zabierała do powrótu.

„ Jakże mam podziękować za twoję dobroć " rzekłem do niey " nie umiém ci mojey wyrazić wdzięczności, i chciałbym, abyśmy przed rozstaniem, wzajemne sobie podawali upominki. Ja z mey strony nic ci nie mam do ofiarowania, prócz tych kwiatków " przydałem, uszczknąwszy pacierzyczki nad brzegiem rowu " zowią się one *niezabudki;* lube dziéwcze, nie zapominayże o mnie, proszę! "

„ Ach! wierż mi; nigdy ten dzień nie wyydzie z mojey pamięci. "

„ Dayże mi także pamiątkę tego dnia szczęśliwego! "

„ Nic nie mam " odpowie niewinnie.

Zatrzymałem jey drobną rączkę, którą sięgnęła po bukiet, zdjąłem z jey drugiego palca pierścionek matowy z cyfrą; w teyże chwili jakiś głos zawołał: Felicyo!, skłoniła mi się raz jeszcze i pobiegła do gaiku; ja zaś szedłem do wsi powoli, słyszałem powtarzane pokilkakroć piękne Felicyi imie; nie odpowiadała nic na to; wniosłem więc, że musiała zboczyć, aby rozważyć swe dziwne zdarzenie.

Ja także, cały podobnym marzeniom oddany, czułem bicie serca, z obawy, iż mogłem wzniecić jakiś niepokóy w błogiey tego dziecięcia duszy. Jużem widział zdala wieżę w zameczku, kiedym sobie przypomniał, iż nie wiedziałem o jey nazwisku. Litery początkowe, znaydujące się na pierścionku, były F i R, spólnie związa-

ne, zupełnie tak, jak dostoyna cyfra wielkiego króla: *Fridericus Rex.*

Obraz tey młodey dzieweczki pozostał nazawsze w mey duszy; już teraz uczucia moje nie były bez przedmiotu; serce mocniey niemi było miotane, a marzenia tkliwszemi się stały. Twor idealny, zaymujący przedtém moję imaginacyą, nabył postaci, barwy i nazwiska. Felicya! słodkie to imie, wymykało się z mych ust co chwila, śród westchnień miłośnych. Oddałbym wszystko na świecie, bylebym tylko mógł się dowiedzieć: kto ona była, gdzie mieszkała i kto jey rodzice. Dosyć było, chcąc się o tém objaśnić, wrócić do majątku P. Bornhof i zasięgnąć wiadomości; nie miałem wszakże odwagi; zdawało mi się, że piérwsze nie zapytanie wyda tajemnicę serca. Felicya nie mogła z większém prostactwem wierzyć mojemu proroctwu, jak ja sam wierzyłem. Nosiłem jey obrączkę na palcu, kiedym był na osobności, a na piersiach, kiedym mógł bydź postrzeżony.

Rozdział czwarty. *Młody Leśniczy.*

Niepodobna było, aby ten wypadek nie sprawił na mnie głębokiego wrażenia. Wychowanym będąc w pustyni, wszystko, co uderzało moję imaginacyą, inną na mnie wywierało władzę, jak kiedybym żył na wielkim świecie. Stąd też pamięć Felicyi, miasto zacierania się, głębiey coraz ryła się w mém sercu; uważałem ją, jako swą małżonkę; powtarzałem, że była, że powinna bydź moją.

Kiedy moi rodzice rozmyślali, czyliby mię

należało wysłać na świat, czy też zostawić w domu, popiérałem teraz stronę matki, karmiąc się słodką myślą szczęścia, jakiegobym doświadczał z moją kochanką.

„Kiedy się nasz Henryk ożeni“ mawiał móy oyciec“ będzie mógł mieszkać z żoną swoją w zameczku.

„Zapewne“ odzywała się matka, tak blisko, będą mogli do nas uczęszczać na biesiady.“

Serce moje przeymowało się tém pochlebném malowidłem, a kiedym był sam na sam, imaginacya moja, chwyciwszy pęzel, *wykańczała* je nayświetnieyszemi kolorami.

Bywałem często w Szalden, wkradałem się na to mieysce, gdziem ją raz piérwszy uyrzał, i, pomimo naywiększey nadziei jey obaczenia, nigdym przecie nie zobaczył.

Piękne jey towarzyszki, znikły z nią razem; ustały tańce i igraszki; łączka i gaik były opustoszone: możebym uwierzył w przywidzenie, gdyby mi drogi nie został pierścionek. Począłem się przekonywać, że zle robię, iż go kryję: postanowiłem zatém nigdy z palca nie zrzucać.

Jak tylko matka go postrzegła, nie spuszczała oczu z rąk moich, i zapewne powiedziała o tém oycu, gdyż mię zapytał: jakiby to był pierścionek?

„Ach! ach! *Fridericus Rex*“ rzekł, przypatrując się mu z uradowaną twarzą“ dobrze Henryku! dobrze, poczciwy chłopaku! niech to imie będzie wyryte w twém sercu; niech się w niém nigdy nie zaciéra: czy słyszysz? dochoway wierność temu imieniowi do grobu. Czcić, kochać i bydź wiernym swemu królowi, jest

powinnością, szczęściem i chwałą każdego cnotliwego człowieka.

Napomnienie to, w niewiadomości przez oyca uczynione, wydało mi się nowym wieszczym głosem. Odpowiedziałem drżący i ze łzami: „Aż do grobu, móy oycze!“

„Tak, synu!, aż do grobu“ powtarzała matka. Odtąd wszystkie moje zamysły przybrały cechę pewności; miałem za sobą wolą niebieską i zezwolenie rodziców, czyliż więc mogłem wątpić o znalezieniu jey kiedy: wszak o tém mię zapewniało moje wierne i szczére serce!“

Tym czasem lata upływały, a żaden głos nie odpowiadał głosowi mojego serca. Często brała mię chętka zbiegać świat, w celu wyszukania Felicyi; zdaje mi się, iż byłbym został *błędnym rycerzem*, gdyby mi tego dozwoliło zdrowie mojego oyca;lecz już go wiek chylił i codziennie osłabiał; zajęty wszelkiemi zatrudnieniami, nie mogłem pomysléć o opuszczeniu rodzicow.

Kiedy niekiedy jeszcze móy oyciec objeżdżał lasy na łagodnym koniu, chcąc widziéć czylim wszystko w dobrym utrzymywał stanie; powracał ucieszony ze mnie, ale nigdy z siebie; nogi już mu odmawiały posługi; przywykły nie siedziéć nigdy w izbie, dręczony był nudą, którą moje *kollekcye* roslin i ptastwa ledwo w części rospędzały. Przyniósłszy raz xiążkę z biblioteki, radziłem mu posłuchać cokolwiek; wlepił we mnie oczy, a ja, nie czekając odpowiedzi, rozpocząłem czytanie: zadawał mi pytania, tłumaczyłem mu to czego nie rozumiał i gdym złożył xiążkę, zabawiał się jey przewracaniem. Czytywałem tak co wieczór, dopókim nie skończył

tey xiążki; po czém przyniosłem drugą: uśmiéchnął się z radości, widząc ją w mém ręku, a kiedym skończył, rzekł zdjąwszy z głowy wełnianą swą szlafmicę: „Zaiste, móy synu, przez całe życie wykraczałem przeciw xiążkom; nie przeto, wiele one słodzą mą starość; dzięki tobie, żeś mię pojednał z niemi.“

Przynosiłem mu daley jedną po drugiey, zwłaszcza tych autorów, które mu się podobać mogły; słuchał mię z nową zawsze ciekawością i odczytywał nazajutrz to, com mu wczora przeczytał. Matka, mniéy jak on smakując w tém zatrudnieniu, przędła i usypiała często podczas czytania, wyjąwszy chyba w ten czas, kiedy oyciec wymagał po mnie tłumaczenia: bo w tedy cała była uchem, a jey oczy jaśniały tryumfem macierzyńskim. Stary postrzegając to codzień, raz do mnie rzecze: powiedz mi, móy synu, skąd ci się wzięła ta nauka, i gdzieś dostał te xiążki?“

Opowiedziałem mu wówczas, jakim sposobem znalazłem skarb w zameczku; zadziwił się bardzo, a matka się zasmuciła: cud bowiem, w który tak szczérze wierzyła, utracił znaczenie swoje.

„Dzięki niech będą Bogu, móy synu! że tak się stało“ zawołał oyciec“ a tyż, żono, czy podobna, abyś była tak markotną, że nasz Henryk nabył przez pracę, starania i trudy, tey nauki, jakiey się w nim dziwimy? cóżby ztąd była za zaleta, gdyby nią był obdarzony? powiedz!“

Przystała nato, lecz wolałaby, iżby to było skutkiem cudu.

Móy oyciec zawlókł się aż do zameczku, dla widzenia tego skarbu, który mu na starość tyle chwil przyjemnych sprawił. Czytywaliśmy od-

tąd co naywięcéy, i był to widok tkliwy dla mnie, patrzyć na starca, zalewającego się łzami nad romansem.

Zatrudnienie to zaymowało teraz u niego mieysce zatrudnień dawnieyszych, przywiązanych do obowiązku, od którego się uwolnił: bo mu osłabione siły, dłużey pełnić go nie dozwalały. Objąłem mieysce po oycu, we dwudziesiątym piérwszym roku.

„Bogu dzięki! móy Henryku, owożeś i na dobrym stopniu“ rzekła do mnie matka, wraz po moiey *installacyi* „ masz chléb dostatni, braknie ci tylko. . . . . „ i zakończyła westchnieniem.

„Matka twoja chce powiedziéć, moje dziécie, że już czas, abyś pomyslał o żonie: bo kobiéta nie może patrzyć na młodego człowieka na swym chlebie, aby natychmiast o ożenieniu go nie pomyślała.“

Myślę o tém, móy kochanku! bo nasz syn będzie przez to szczęsliwszy; a potym taka jest wola Boża. „

„Wiém o tém, żono, i to jest nawet życzeniem mojém i naszego Henryka: bo xiążki, które zwykł czytywać mogą zachęcić do małżeństwa; chciałbym, abyś ich kiedy posłuchała.

„No! cóż tam! masz już jaką upatrzoną?“

„Uchoway mię Boże! jemu zostawiam wybor.“

Jakkolwiek bądź, wymieniła wiele panienek sąsiednich, przyznając każdey tysiączne przymioty, a oyciec potakiwał całemi siłami.

Nazajutrz zrana rozpoczął tęż samą rozmowę, a przy obiedzie znowu matka, i tak następnie.

Zostawując mi wolność wyboru, dobra moja matka jasno dawała poznać, żem powinien się skłonić na stronę córki naszego pastora, którey była chrzestną matką. Oyciec zaś, będąc tego zdania, iż powinnością syna pojąć za żonę tę, którą mu przeznaczą rodzice, nie wspominał o żadney. Gdy te ich nalegania codziennie natarczywszemi się stawały, postanowiłem zwierzyć się przed oycem z tajemnicą mojego pierścionka; romanse które czytał z taką uciechą, rozczulenie i uwagi jakie mu one nastręczały, czyniły mię pewnym, że się zaymie mojem zdarzeniem; lecz nie mogłem rokować po matce, która usypiała albo kiwała głową, ile razy słuchała naszego czytania. Powiedziałem przeto oycu o mojey nieznaney małżonce; słuchał spokoynie, lecz w czasie opowiadania czoło jego coraz się bardziey marszczyło.

„Henryku“ rzekł, kiedym skończył „powiém ci tylko słowo: nie masz rozsądku.“

Oddalił się odemnie, aby póyść opowiedzieć to wszystko matce. Przebóg! cóż ona na to powié, myslałem w smutku: atoli, nad moje spodziewanie, wzięła pierścionek i moję miłość pod swoję opiekę, kiedy przeciwnie w romansie, jedno i drugie śmiésznémby się jey wydało.

Wypytywała się o naydrobnieyszych szczegółach mojego widzenia się z Felicyą, a tymczasem oyciec potrząsał głową, uśmiéchał się i milczał.

Lubo żyliśmy bardzo odludnie, wszelako matka znała całe sąsiedztwo.

„Felicya“ powtarzała“ imie to nie bardzo pospolite, zaraz się dowiemy, do jakiey należy familii, musi ona teraz mieć....... lat szesna-

ście, blondynka; Felicya R., któżby to ona była? Ach! móy synu, czemużeś się przedemną natychmiast nie zwierzył: dziś już możebyśmy obchodzili wasze wesele."

Kazała zaprosić wdowę, panią pastorową Szaldeńską na poobiedzie do siebie; nimby jednak u niey się rospytała, przebiegała myślą wszystkich mieszkańców okolicy.

„Bóg wié, czy to czasem nie będzie córka Pana Reichenbacha, blondynka, ładna i szesnastoletnia; lecz nie pomnę jey imienia."

Umilkła, myśląc czas długi, zapewne nad sposobem pogodzenia cudu ze szlachetną dumą tego wielkiego domu.

„Jeśli to ona tylko" odezwał się oyciec" to spodziewam się, że Henryk sam wyzna, iż jego nadzieja jest nierostropnością."

„A cóż, gdyby taka wola P. Boga, móy mężu?"

„O! bądź pewna, że nigdy tego nie będzie, moja żono!"

Wszelako matka była tego dnia w umyśle nieporuszona: tysiąc rzeczy razem robiła; myślała już nawet o nowém wyporządzeniu domu, zaymowała się moją wyprawą i kazała wybić drzwi, aż dotąd zamknięte, które jey teraz były potrzebne.

„Miłość to matczyna czyni te niepokoje, móy synu" mówił do mnie śmiejąc się oyciec.

„Zaklinam cię, moja kobiéto" powiedział oyciec zniecierpliwiony" zostaw mu, niech szuka *tey, którą jego serce miłuje.*"

„O Panie! jakże teraz trudno przekonać ludzi, że to wszystko, co jest podobném, powinno się wypełnić! od czegożby inaczey był Bóg dobrotliwy?"

Niechże ktokolwiek z filozofów potrafi zawrzéć nayglębszą ze wszystkich myśli, w krótszych od mey matki słowach, w owey pobożney prostocie. Zostawiła nareście nas samych

Poszedłem za nią, prosić, aby nie otwiérała mey tajemnicy przed swą przyjaciółką, i znalazłem w szpichrzu, otoczoną kuframi i pudłami pootwiéranemi, mającą zaledwie czas do wysłuchania mię i odpowiedzi.

Pełna nadziei, że wesele odbędzie się u nas, liczyła już gości, i układała przyjąć ich w sali jadalney zameczku.

Przyznam się, że wiara mojey matki podwoiła moje nadzieje; czekałem z nayżywszą niecierpliwością wdowy pastorowey.

Oyciec, widząc moję wesołość, śledził ciągle oczyma, kiwając głową.

„Posłuchay Henryku!“ odezwał się“ czytałeś wiele xiążek, lecz przekonywasz mię teraz, że można bydź razem i mądrym i głupim. Zastanów się Henryku! zastanów! “

Po obiedzie przybyła wdowa; oyciec oddalił się do swego gabinetu, a matka kazała sobie wyszczególnić dziennik wizyt, jakie miały mieysce w domu P. Bornhof od lat pięciu.

Pomiędzy wyliczanemi osobami, nie było żadney,któraby nosiła wspomnione imie. Panna Reichenbach nazywała się Julia. Obie zatém matrony przebiegały na mil sześć okolicę, żadney jednak nie znalazły Felicyi. Poczciwa staruszka miała chęć dowiedzenia się, skąd pochodziła ta gorliwość mojey matki, w odkryciu podobnego rodzaju; matka splotła przed nią baykę, którey ona

czy uwierzyła, czy nie, Bóg wié, dość na tém, że się pożegnały.

„A cóż! nie moja prawda“ rzekł do nas oyciec, po otrzymaném doniesieniu rozmowy. Matka wszakże nie ostygała jeszcze w zapale.

Tymczasem po wielokrotném zwiedzeniu okolicy, po uzbieraniu wszelkich, jakie tylko można było mieć, wiadomości, poczęła tracić otuchę; nadzieja jey codzień się zmnieyszała, a w sześć tygodni znowu mi mówiła o swey chrzestney córce, nalegając, abym chciał ją poznać.

(*Dokończenie w następującym numerze*).

Geniiusz człowieka, przez N. Alfonsa *Kumelskiego*, z dzieła franc. Lettres à Sophie, sur la Physique etc.

Głos Apollina doszedł do mych uszu
Skoro kolasa jego zabłysnęła;
Opieway, rzecze, dzielność geniiuszu
Który odsłania ludziom boskie dzieła.
Muzy! urządźcie na lutni mey strony,
Czuję geniiusz, jestem uniesiony;
Sladu już we mnie nie ma śmiertelnika
Co zna cierpienia, łzami je zlał swemi;
Jestem człowiekiem, jestem panem ziemi,
A moja dusza niebios się dotyka.

Z dziwem człek pierwszy raz na świat spoziera,
Bez podpor widzi zawieszone słońca,
Jasna dokoła otacza go sfera
I światów przed nim toczy się bez końca.

O co za mądrość! co za okazałość!
Człowiecze! poznay twą małość!
Co mówię? niech cię wielkość twoja zdumi!
Ty masz pierwszeństwo w żyjącey naturze;
Bo czyż ta zrówna myśli, niebios córze,
Co się do Stwórcy swego podnieść umie?

Długo szczęśliwa istota, ach! długo,
Nic tylko sprawcę życia podziwiała;
Kiedy nareszcie, rzecze, myśl zuchwała:
»Będę nadawać rzeczom postac drugą.«
Otoż początek taki miały sztuki.
Człowiek z pomocą nauki,
Nieśmiertelności swey uznał konieczność;
I mimo słabość trwały udział jego
Piérwszy wzgląd na się samego,
Coż sprawił?. odkrył mu wieczność.

Wkrótce też został wynalazcą liry,
Głos jego wiatry podrzeźniał huczące,
A słodkiem swojem wionieniem zefiry
Dały koncerta zachwycające.
Jak twe potężne, genijuszu wpływy!
Jak niepojęte, muzyko twe dziwy!
Ty starożytnych uzupełniasz chwałę,
Przez cię człek wzgardził przytułkiem podziemnym,
I w mgnieniu oka, na prochu nikczemnym,
Dzwiga się, widzę, miasto okazałe.

Wszystko rzez Boga śmiertelni czynicie!
A toż co?.... nowe zjawiska!
Pod palcy mistrza płótno bierze życie;
Pod pęzlem, nowy świat błyska.

Tu, dłóta marmur przeinaczyły —
Widzę, jak z niekształtney bryły,
Wstaje bogini, z nią uroków mnóstwo.
Człowiek więc dał płótnu życie,
Zręczném dłótem zdjął przykrycie
Pod którem wprzódy taiło się bóstwo.

» Trzeba też przebiedz i wodne pustynie«
Rzekł ten, który się z trwogi naigrawa
Wyrusza — aż w tém na nowy świat wpłynie,
Królem się mieni, i dyktuje prawa.
Patrzcież nań teraz, jako syty sławy
Płynąc, opiewa zwycięzkie wyprawy!
Jak się urąga z wściekłey nawałności!
O nadzwyczayna i dziwna sprzeczności!
Wszakże go tylko wątła deska dzieli,
Od oceanu bezdennych topieli.

Słabe, nikczemne, śmiertelne stworzenie,
Igrzysko cierpień, niemocy, boleści,
Człowiek jest punktem, który przyrodzenie
Pomiędzy dwiema wiecznościami mieści.
Lecz jakże jego myśli są olbrzymie!
Nie raz, naywiększa trwoga umysł zdéymie,
Gdy zważy rachub swych śmiałośc i biegłość;
A jako słońce swym biegiem po niebie,
Tak człowiek z mety wytkniętey dla siebie,
Wymierzył całą niebieską rozległość.

Niegdyś na pysznych nadbrzeżach Sekwany,
Wspaniałomyślny śmiertelnik się zjawił (*).

(*) L'abbé de l' Eppé wynalazca metody uczenia głucho-niemych.

Dobroczynności on nam wzór wystawił
I pod jey cechą u świata był znany.
Sztuką swą czynił cuda niepojęte;
Głuchemu uszy otworzył zamknięte;
Przezeń niemy wszystkich zdumiał.
Bluźnierco! przestań szerzyć twoje jady,
Patrz! jak te wszystkie w naturze swey wady,
Ponaprawiać człowiek umiał.

Tymczasem z mnogich widoków,
Zaczęli wszyscy ten szczególniey sławić,
Kiedy człowiek chcąc cud sprawić
Smiał się podnieść do obłoków.
Otoż już rzuca tę ziemię, zuchwały;
Wątły czołenek i mały
Do nieba niesie żeglarza;
Wszystko jest niczém w miarę jego męztwa,
I z samey śmierci, która mu zagraża,
Odnosić zdaje się palmę zwycięztwa.

Patrzcież tu teraz mędrkowie fałszywi,
Wszak to ta istota przecie
Której się dziełom każdy z was dziwi;
Czyż ją na nicość wskazywać możecie?
Ach! dusza moja z doczesności łona,
Wielkiemi myśli do niebios wzniesiona,
Nieśmiertelność widzi swoję.
Smierć godzi w nas wszystkich społem,
Ale za grobowym dołem
Do wieczności są podwoje.

Trzy krzyże pod Brykowem (*). Ballada.

Cóż to za piesek biały jak mléko
Tak skomli przy drodze blizko?
Głos jego smutny brzmi w uszach dziko!
Zagadką jego nazwisko....

Co nocy zpod tych mogił, wychodzi,
Na drugę rozstayną wpada —
Grzebie łapkami, głosem zawodzi.
Główkę do ziemi przykłada.

Gdy o nim mówią — strach mnie przeymuje
Lecz gdy go słyszę i widzę —
Serce me jakąś tęsknotę czuje
I mey bojaźni się wstydzę,

Cóż to za piesek jak mléko biały
Powiedz mi niechay się dowiem!
Pytay mnie, pytay nawet dzień cały,
Ja ci nic więcey nie powiém.

Cóż to za krzyże? Trudno jest dociec
W jakiey stawiano je porze;
Leży tam córka, matka i ociec
I dway młodzieńcy jak zorze.

Widziałeś kiedy liliją młodą?
Ruzia tak hoża i miła —
Sciągała oczy swoją urodą,
Dobrocią serca więziła.

(*) Bryków wioska w powiecie krzemienieckim leżąca o trzy mile od Krzemieńca.

I jakiś sekret z nieznaną siłą
Pewnie musiała posiadać ;
Bo dosyć tylko widzieć ją było
Żeby spokoyność postradać.

Nie dziw więc, nie dziw: że Stasio młody,
Że piękny, spokoyny Józio,
Ujęci blaskiem cudney urody
Oba ginęli za Ruzią.

Nic w świecie, oprócz Ruzi,nie znali—
Ruzia ich życiem i zdrowiem —
Oba ją pono równie kochali;
Lecz ci z pewnością nie powiem.

Były obżynki we wsi Brykowie,
Wieś cała wyszła na pole:
Kielich radości za pańskie zdrowie
W ochoczém spełniano kole.

Spełniano kielich za pańskie zdrowie,
Kiedy ktoś z grona zawoła :
» Dość już — niech żyją zdrowi panowie !
» Teraz drużyno wesoła,

» Spełniymy zdrowie Stasia i Józia;
» Kto z nich szczęśliwy kochanek,
» Komu z nich więcey przychylna Ruzia,
» Niech na skroń włoży mu wianek ! «

Klasnęli wszyscy, zadrżeli chłopcy
I piękna Ruzia zadrżała;
Brzęknęli w czary raźni parobcy,
Brzęknęła gromada cała.

Józia i Stasia tłum wnet oskoczy,
Każdy się do nich uśmiécha.
Lecz czemuż Ruzia spuściła oczy?
Czemuż się płoni i wzdycha?

Tego ja nie wiém; lecz moje zdanie
Kiedy powiedzieć mam szczerze:
Myśli: gdy przed nią staną młodzianie,
Który z nich wianek odbierze.

Młódszym jest Józio, Stasio pięknieyszy
Obadwa cnoty obrazem. —
I któryż Ruzi jest przyjemnieyszy?
Czy kocha obudwu razem?

I kiedy przed nią w lękliwém drżeniu
Stanęli oba młodzianie,
A wszyscy patrzą w bacznem milczeniu
Ktory z nich wianek dostanie:

Ruzia westchnęła, oczy spuściła,
Zadrżała niby ze trwogi;
Westchnęła jeszcze — wieniec rzuciła
Obu młodzieńcóm pod nogi....

Kochać dwu razem, wyznać to muszę
Do wiary rzecz nie podobna;
Lecz równie obu, klnę się na duszę,
Kochała Ruzia nadobna.

Mawiał jey ociec, mawiała matka:
»Obierz jednego me dziécię!«
»Trudna to, trudna dla mnie zagadka,
»Obu ich kocham nad życie!«

Nieraz też chcieli młodzieńcy sami,
By los rozrządził, ich dolą;
Gdy przyszło ciągnąć, rzekli ze łzami:
» Na Boga zdaymy się wolą!«

Z miłości oba chłopcy niszczeli,
I Ruzia także niszczała;
Lecz ci ustąpić sobie nie chcieli,
Ruzia wybierać nie chciała.

Można więc wnosić z jakiey przyczyny
Oba młodzieńcy westchnęli,
Czemu odeśli od swey dziewczyny
A wieńca ruszyć nie śmieli?

Idących wszyscy śledzą oczyma,
Ruzię okrutną mianują;
Mówią, że w sercu litości nie ma —
Józia i Stasia żałują.

Kiedy tym głosem Ruzia strapioną
Łzami się gorzko zaléwa;
Poważny starzec wystąpił z grona
I tak się do niey odzywa:

» Czyliż twe serce, Ruziu, z kamienia?
» Kochając młodzieńców obu,
» Patrzysz spokoynie na ich cierpienia
» I chcesz ich wtrącić do grobu?

» Każdy z nich tęskni, każdy narzeka,
» W srogiey miłości więdnieje;
» Lecz pomniy, na nich, co jeszcze czeka,
» Gdy im zabierzesz nadzieje.

»Dzisiay więc obierz, to moja rada,
»Jednego o! Ruziu miła!
»Dzięki ci złoży cała gromada:
»Żeś jey dwóch chłopców wróciła.

»A jeśli władnąc umysłem tkliwym
»Uczynić serce się wzdryga
»Tego nieszczęsnym, tego szczęśliwym —
»Niech los w tey mierze rozstrzygą:

»Wyydź na ten wzgórek co w polu leży,
»Odwróć spłakane powieki;
»Kto z nich do ciebie pierwszy dobieży,
»Z tym się połączysz na wieki.

»A choć drugiego los cię rozczuli,
»Niechciey się oddadź rozpaczy —
»Nieszczęsny w smutku swym się utuli,
»Gdy cię szczęśliwą obaczy.«

Klasnęli wszyscy — Ruzia strętwiała,
Niespodziewała się bowiem
Takiey porady. — A co myślała,
Tego ci wcale nie powiem.

Na wzgórek Ruzię prowadzą młodą,
Drżącą jak listek na drzewie.
Tu idzie zwolna — idzie; bo wiodą,
Lecz dokąd wiodą — nic nie wie.

Nic nie wie — gdzie ją wiodą dziewczęta,
Już się na wzgórku znayduje;
Lecz co słyszała — nic nie pamięta,
Co widzi — nic nie poymuje.

Gdy burza uczuć gwałtownych sroga
 We łzach się gorzkich łagodzi,
Uderza w dłonie Ruzia nieboga
 I ciężkie skargi rozwodzi:

» Możeż jednego szczęście sprawiwszy
 » Widzieć drugiego niedolę?
» Gdy jeden tylko ma bydź szczęśliwszy,
 » Żadnego nie mieć już wolę «

» Tak — umrzyy Ruziu! na twoim grobie
 » Każda dziewczyna ostrożna,
» Niechay usiadłszy pomyśli sobie;
 » Że serca dzielić nie można.

» Lecz się i z grobu odezwie Ruzia;
 » Że choć ją miłosc pożarła;
» Józia jak Stasią, Stasia jak Józia
 » Będzie kochała i zmarła! . . . . . «

Lecz znak dadź mają — głucha milkliwość —
 W młodzieńcach dusza goreje.
Miłość w ich sercach — w myśli wątpliwość,
 Na wzgórku wszystkie nadzieje ! . . .

Dano znak — nagle jak z łuku strzały
 Oba się chłopcy puścili ;
Wszystkim patrzącym serca zadrżały —
 Bo wszyscy obu lubili.

Zręczny się Józio naprzód posuwa,
 Stasio silnieyszy zostaje;
Lecz miłość równie nad nimi czuwa,
 Nadzieja stygnąć nie daje.

Stasio jak burza leci straszliwa,
A Józio niby błysk miga;
Wzrok ich na wzgórku lubym spoczywa,
A serce w biegu wysciga.

Pośpieszay Józiu! meta daleka,
A tuż za tobą Staś chyży;
Popatrz na wzgórek gdzie Ruzia czeka,
Miłość twe siły odświeży.

Dopędzi Stasio, oto już blisko.
Już, już się oba zrównali.
Los teraz ślepy, dłonią swą śliską,
Waży ich szczęście na szali.

I równo biegną — i trudno wiedzieć,
Kogo los w biegu wspomoże;
Ani się Józio daje wyprzedzić,
Ni Stasio wyprzedzić może.

Usta nie zdążą zająć oddechu,
Noga tknąć ziemi w szybkości;
Podobni orłóm w lotnym pośpiechu,
Podobni chmurze w lekkości.

Meta się ku nim przybliżać zdaje,
I wszystko wkoło nich znika;
Miłość im w biegu siły dodaje,
Skrzydłami wiatru pomyka.

Ale nie dla was szczęście niestety!
Obadwa niby śmierć zbladli,
Ledwie dobiegli żądaney mety,
Martwi przed Ruzią upadli.

Niby się ze snu porwała Ruzia,
Postrach jey kości przeszywa;
Spóyrzy na Stasia, spóyrzy na Józia
I pada przy nich nie żywa.

Niosąc im wszyscy poźny ratunek,
Łzami skrapiają swe lice;
Lecz któż wyrazić zdoła frasunek,
Co trapi Ruzi rodzice.

Stracić jedyne szczęście co mieli!
Któż srogie losy poruszy?
Ni zapłakali, ani westchnęli,
Padli oboje bez duszy.

Z patrzących na to nikt już nie żyje,
Wieści nas tylko dożyły;
Kości ich ziemia surowa kryje,
Gdzie te milczące mogiły.

Z krzyża średniego, gdzie Ruzia leży,
Głaz tylko stérczy przy ziemi;
Bo każda chmura co tędy bieży,
Tłucze ją gromy strasznemi.

Czemu popiołom nawet dziewicy,
Spocząć los nie da w swym gniewie:
Próżnobyś dociec chciał tajemnicy,
Nikt o tém z ludzi nic nie wie.

Co noc stąd tylko piesek wychodzi,
Na drogę rozstayną wpada;
Grzebie łapkami, głosem zawodzi,
Główkę do ziemi przykłada.

I cóż ma znaczyć ten piesek biały?
Powiedz mi niechay się dowiem.
Pytay mnie, pytay nawet dzień cały,
Ja ci nic więcey nie powiem.

Jan Kazimierz Ordyniec.

Myśli pewney kobiéty o kobiétach.

Ubieganie się do sławy jest udziałem mężczyzn, kobiet gospodarstwo: mężczyzni powinni nabywać, kobiéty chować.

— Żona powinna to rostropnie oszczędzać: co mąż musi wydatkować z honorem.

— Mężczyzni chcą pierwszey miłości, kobiéty ostatniey.

— Nie wierzymy tey miłości, którey nie możemy dzielić.

— Kochankowie, którzy przestają się kochać: są to ci, którzy się nigdy nie kochali; są inni, co się nienawidzą, dla tego, że nie kochali się wzajemnie.

— Kobiéty mogą polegać na przyjaźni mężczyzn, wtedy tylko, kiedy już nie wzniecają miłości.

— Węzły osłabioney przyjaźni, mogą bydź czasem zmocnione; lecz węzły, które miłość zerwała, nigdy na nowo nie mogą bydź zawiązane.

— Sercu kobiéty, zajętey obowiązkami tylko towarzystwa, trudno jest oprzeć się mężczyznie, wydoskonalonemu w sztuce kochania a śmiałemu.
